

Andrzej Talarek

poeta, publicysta, animator kultury, członek Związku Literatów Polskich

Stąпам po wodzie

wiem dokładnie kim jestem
wiem skąd idę i dokąd
mam imię nazwisko adres zamieszkania
przeczytałem nieokreśloną bliżej liczbę
książek niekiedy zbyt mądrych a jednak
pomogły mi zdefiniować Boga
miałem psa i rzadko się uśmiecham
antycznie przytulony do piękna

jestem wyczulony na fałszywe nuty
na błędy w stylu i ortografii
nie słucham kiedy kłamiesz
wierzę że człowiek jest lepszy

nie dostrzegasz u mnie niepewności
choć lęk czasem cichutko puka
myślę że mogę nie bać się
śmierci w późnym wieku

moje stopy zostawiają na wodzie ślady
kiedy po niej stąпам lekki na chwilę
otrzymaną wiarą
są jak załamanie czasu w którym
rozszczepia się światło
przez momenty wierzę
że będą trwały

a jednak
skłamałbym pisząc
o braku wątpliwości
gdy wiatr gdy niewiara
że zostanie cokolwiek

wątpię więc jestem
i boję się
wątpię bo jestem
człowiekiem małej wiary

Nazwałem

*„dowodem istnienia potwora
są jego ofiary”
(Zbigniew Herbert „Potwór Pana Cogito”)*

Uczyłem się mówić. Uwalniałem przeczucia.
Ulatywały dźwiękami, ptasim głosem,
skrzypieniem kołyski, płaczem.
Zmieniały się w słowa.

Mówiłem. Mama ubrana w dumę i zapach mleka,
pokazywała mnie ludziom jak sepleniącą małą.

Nie wiedziałem, że mówiąc mama,
stwarzam matkę w całej jej oczywistości,
mówiąc kot, stwarzam kota
i gładziutką relację pomiędzy mną a nim.

Wyciągałem słowa z nicości osobliwej jak partenogeneza,
a stwarzałem rzeczy nie będące na obraz ani podobieństwo.
Obdarowany słowem, brałem je w dłoń
i wkładałem do ust jak mały palec.

One były na początku.
I stawał się kot, drzewo, dom, kocham.
Stwarzałem świat. Nazywałem.
Choć było już raz nazwane.

Nie wiem, kto stworzył we mnie potwora.
Był jak senny koszmar, przerażenie,
które mnie wypełniało, nienazwane,
zalewające mózg, obezwładniającą lepkością lęku.
Żyłem z nim przez lata. Żyłem w jego cieniu. Drżałem liściem.
Zwijąłem się w kłębek nastroszony igłami.

Kiedyś wymówiłem jego imię. Może przypadkiem.
A może ktoś mi je podpowiedział?
Wyfrunął nietoperzową chmurą.
Pozostawił poharatane sumienie
i wspomnienia potwornych nocy.

Oddycham.
Tylko za siebie. Mówię. Przynajmniej tak mi się zdaje.
Czy mogę powiedzieć, że się stworzyłem?
Dając imię lękowi?

A jeśli potwór, który ze mnie, powróci?
Owinie mackami lęku? Nienazwanego?
Znów?

Czy moje trwożne milczenie będzie
jednocześnie świadkiem i ofiarą?

Ja, Piłat

Byłem przeciwko.

W zimie przeciwko zimie, w kościele
przeciwko Kościołowi, w domu
przeciw domowi z całą jego wiarą
i tradycją.

Idąc po nizinie, chciałem wchodzić na szczyty,
brnąc przez piach, marzyłem o falach morza,
patrząc w słońce, uciekałem do jaskini.
Szukałem bez przewodnika.
Błądziłem.

Nie dopuszczałem rad i krytyki
do przemądrzałej młodości,
która wiedziała lepiej.
Oskarżanie, sądenie
i wydawanie wyroków
uważałem za swoje prawo i powinność.

Najpierw skazałem rodziców.
Nie zasługiwali na łagodny wyrok.
Jak wielu innych, w przyszłości.
Bo łagodność to słabość.
Potem po wielokroć wydawałem wyroki,
skazujące, odsądzające od czci i wiary.

Nie wiem, dlaczego skazałem Jezusa,
zwanego Galilejczykiem. Pewnie splot
okoliczności. Krzyk tłumu. Święty spokój.
Może brak refleksji?

Stało się, że buntownik skazał buntownika.
Skazałem tradycję wyrosłą z buntu, który był pokorą.
Bunt przyobleczony
w purpurowe szaty błazna?

To był trudny proces. Był niewinny,
A ja musiałem go skazać. Chciałem.
Przeszkadzał w swobodnym myśleniu.
W samospelnieniu.
Przed wyrokiem dużo czytałem.
Wydawało mi się, że wiem.
Potem skazałem go na ukrzyżowanie.

Zabijałem go w sobie z premedytacją,
przez kilka lat. Cierpiał. Czasami nocą krzyczał:
Ojcze mój, czemuś mnie opuścił.

Mówili, że mówię przez sen.
Gdy umarł, nie poczułem ulgi.

Potem było już tylko gorzej.
Chodziłem z nim martwym.
Wewnątrz. Wypełniał mnie.
Uwierały jego martwe członki.
Jego dłonie były bólem w moich dłoniach.
Jego stopy uwierały raną przy chodzeniu.
Serce waliło jak przebijane włócznią.

Nie mogłem żyć normalnie, bo on nie żył we mnie.
Nie mogłem normalnie umrzeć, bo on był zmarły.
Umierałem żyjąc.

Pewnego dnia zmartwychwstał.
We mnie. A może ze mnie.
Rankiem. Akurat dłużej spałem w
w niedzielę. Zdziwiłem się, że wstałem
jak nowonarodzony.

Spotykałem go potem.
Pierwszy raz, gdy nie wierzyłem
I kazał mi włożyć palec w ranę.
Cierpiałem. Ale podziałało orzeźwiająco.
Jak poranna kawa.
Drugi raz na drodze do Emaus.
Szedłem po jego śladach.

Przebaczam - powiedział.
Jedno słowo.

Dzisiaj wciąż jest buntownikiem.
Mówi o wszystkim, czego nie chce słuchać
spasłe społeczeństwo.
Kiedy przemawia, skrzętnie spisuję
jego myśli. Wydam je jako poezję.
Potem siadamy przy fontannie
i umywamy dłonie po dniu pracy.

Właściwie to obaj wciąż się buntujemy.
Kiedy znowu krzyczą: chcemy Barabasza,
jest Mu zwyczajnie przykro,
a ja jestem wkurzony.
Podtrzymuję go wtedy na duchu.
Będzie lepiej, Chryste. Wierz mi - mówię.

Wybaczył mi, że go skazałem i zamordowałem.
Przynajmniej tak powiedział. A nie mam powodu,
by Mu nie wierzyć. Wszak jest Bogiem.

A Bóg jak powie Słowo,
to zaczyna się świat.

Moja żona

Moja żona nie należy do kobiet łaknących
nieustannych hołdów, jak wiele innych,
choć się przed nimi nie wzbrania.
Gdzieś w jej głowie sąsiadują ze sobą
kobieca próżność, z głębokim umiłowaniem
badania spraw ostatecznych i sprawiedliwości.
Badania po kobiecemu.
Drogi do tego prowadzą przez senne wizje,
miękkie kobiecego serca albo kobiece rozmowy,
jakże często przybrane w kokardki plotek.

Może to się wydawać dziwne,
bo czy przez sen, kobiecy mem
i miękkie serce można dotrzeć do istoty wszechrzeczy?
Unikając głębokich studiów nad jej nieskończonością?

A jednak można. Jakże długo badałem i rozważałem
przypadek Jezusa z Nazaretu. Dużą część życia
zajęło mi rozważanie wszystkich za i przeciw,
rozdzielanie prawdy od fałszu, oszczerstw od prawd,
cudownych czynów od jarmarcznej szarlatanerii.

I nadal bym nie dociekał, co to jest prawda,
nadal bym się miotał, spoconymi dłońmi
przewracał karty mądrych ksiąg,
i nie umiał zdecydować,
gdyby nie ona.

Jej wystarczyło, kiedy we śnie odwiedził ją Ojciec.
Zabroniła mi czynić zło sprawiedliwemu
z jej snu, którym okazał się ten, którego
nie mogłem zrozumieć.

Jakże sprzeciwić się kobiecie,
Która ma prorocze sny
i która zna Prawdę?

Betlejem

Dzisiaj
pierwszy płacz małego Jezusa
chyba byłby w tym mieście na miejscu,
ale mógłby być opacznie zrozumiany.

Jedni mogliby pomyśleć, że to płacz nad
zamkniętym murami światem i zacisnęliby pięści,
inni zwołaliby żołnierzy, by sprawdzić metryki urodzenia,
a jeszcze inni powitali by go okrzykami radości,
słyszając w płaczu zwiastun pokoju i pojednania.

Kiedyś urodziło się tu dziecko płci męskiej.
Pismo nie wspomina o bólach porodowych,
ani kłopotach z przyjściem na świat.
Pewnie wszystko było bezproblemowo,
a anioł czuwał nad prawidłowym ułożeniem płodu.

W miejscu, gdzie nastąpiło to, co musiało nastąpić,
modłę się do Chrystusa Zmartwychwstałego.
W grocie narodzenia, która wygląda,
jakby dary trzystu mędrców świata
rozwieszono i rozłożono na wzór i na podobieństwo
jerozolimskiego straganu,
gdzie oczy moje razi złoto, a nozdrza mirra i kadzidło,
nucę cichuteńko pieśń mojej Matki:
„hej, maluśki, maluśki, kieby rękawicka”.

Modłę się o tego, który będzie jak muzyka
grana przez wnuka dla starego człowieka,
o maleńki śpiew duszy, który nadejdzie,
„alboli tyz jakoby, jakoby kawalecek smycka”.

Na Dolinie Jozafata

Matka mojej Matki żyła w podkarpackiej wsi.
Świat, jak drożdżowe ciasto z rodzynekami Żydów,
albo starozakonny zakalce. Biedny świat,
w którym litery były niezrozumiałymi znakami,
a Biblia nieczytanym zbiorem cudownych obrazów.
Na ścianie w jej drewnianym domu wisiały
obrazy Chrystusa i Maryi. Na piersiach
mieli wielkie krwawiące serca, jakby wyjęte
wprost z worków osierdziowych.
Babcia płakała nad Żydówką z synkiem na ręku,
zastrzelonymi przez policjanta w nadrzecznej kalwarii.
Przecież to też byli ludzie!!
To było jej odkrycie na miarę Ewangelii.

Drewniany dom był wypełniony zapachem oczekiwania.
Czekano na członków wielkiej rodziny, rozsianej
po wioskach i świecie. Na sąsiadów ku pomocy.
Na wrogów, którzy niespodzianie rozorzą miedzę i kraj.
Czekano na niedziele i święta.
Dni, w których Bóg i człowiek odpoczywali.
Czekano na śmierć, która do każdego zawita.
A nawet na zmartwychpowstanie, na czas po,
który nastąpi. I nikt się nie zastanawiał,
na co niebieskim duchom będą przydatne ziemskie ciała.

Codziennie o piątej rano Dziadek Józef śpiewał godzinki,
budząc cały dom. Nie pochodził z rodu Dawida, zwykły chłop,
Chrabąszcz zawzięty, ojciec trzech synów i pięciu córek.
Babka Helena modliła każdy fragment dnia,
doiła dwie krowy, żywicielki. Ze śmietany ubijała masło.
Wtedy śpiewała o Dolinie Jozafata, na której kiedyś
wszyscy się spotkamy. Ona i Dziadek, i ta Żydówka
z nad rzeki, i wnuki, i ten policjant, i ksiądz, a nawet może
jej mleczna krowa i kotka zwana Kocichą.

Dla niej ta Dolina była gdzieś za płaskością wsi,
może tam, skąd przyjeżdżali góralscy cieśle.
Smutny śpiew pulsował nadzieją z martwych powstania
i chyba życia lepszego niż doczesne.
Nie wiedziałem, czy śpiewała ku pamięci Dziadka Józefa,
który wcześniej umarł, ale nie zapytałem.
Potem umarły i Babcia, i Mama. I już nigdy
nie usłyszałem tej polskiej pieśni o żydowskiej dolinie,
w której będzie ostatecznie rozdzielone zło i dobro.

I nie zapamiętam jej słów. I nawet o niej zapomniałem.
Wróciła, kiedy patrzyłem na wapienne prostopadłościanny
żydowskich grobów, w Dolinie Joszafat.

Tam, w tej Dolinie Wyroku, gdzie za słowami proroka
przekuto lemiesz na miecze, a sierpy na oszczepy,
a kto słaby, powiedział: „Jestem bohaterem”,
przypomniałem Matkę mojej Matki, śpiewającą
łagodnie o spotkaniu nad Cedronem.

Pomiędzy Ścianą Zachodnią Świątyni
a ścianą płaczu i nienawiści odgradzającą Betlejem,
wracałem myślami do tych *pól pobielanych*,
skąd moja Babka Helena
trzymając na postronku krowę i wszyscy, co z niej,
zmierają do wrót Doliny.

Cichy pochód mojej pamięci, śpiewający psalmy

o życiu, które wciąż trwa.
I w którym ja wciąż jestem
wątpiącym obserwatorem.

Czy w tej dolinie rzeczywiście można oczekiwać
sprawiedliwości,
kiedy wypełniona jest po brzegi nienawiścią
i słowami proroka Joela o zemście?

Pytam i nie rozsądzam, choć chciałbym.
Jak Piłat.

Grób Racheli

Kamienie pustyni kaleczą stopy.
Kamienie pustyni przypominają o żywych,
którzy kiedyś przechodzili śladem wyschłej rzeki.
Odeszli, zostawiając zapisane na zawsze w pamięci
dobro. Kwiaty pustyni są dla żywych, których tak mało
na tej ziemi spalonej słońcem. Pamięć obleka się
w ciała i przemyka cieniem po wzgórzach.

Podobno piaski płaczą wiatrem do milczących kamieni.
Jak dzieci nad wspomnieniem matek.
Głos dziecka jest tu motywem dominującym.
Dziecka, które nie przychodzi lub które odeszło.
Jego płacz jest przejmujący jak cierpienie
w oczach białego oryska.

Przy drodze wpisana w kamień miłość,
Pamiętana i zapomniana w przesłaniu.
Otoczona murem nienawiści. Cierpi.
Z jednej strony małe dziewczynki,
kobiety proszące szczęśliwego rozwiązania.
Z drugiej ludzie z kamieniami w dłoniach.
Wielkie graffiti palestyńskiej bojowniczk

Kamienie. Kaleczą i pamiętają.
Powoli zamieniają się w bezpłodny piasek,
Płacz pustyni.
Żadna owieczka nie wykarmi się na tej ziemi.

Hotel Paradise. Cierpliwość. Efrata. Benjamin.
Bethlehem. Jagnię ofiarne.
Gest Piłata.

Kana Galilejska

I

Lubiłem Horacego .
Zmarł, zanim się urodziłem,
Wino także lubię. Jak w jego osiemnastej Odzie,
Nullam, Vare, sacra vite prius severis arborem,
zasadziłem w swoim ogrodzie szczepy
winorośli, z nadzieją na winne radości
w duszy wina ukryte. Uduchowiam je,
zbierając dojrzałe grona,
sącząc szmaragdowe krople.

Winnica była moim marzeniem.
Z niej kielich pełen czerwonych kropli,
krwi ziemi. Toast za życie.
Na skalistej ziemi Jeruzalem
tylko ciernie i smutek.
Gdzieś tam, za Judzką pustynią,
niedaleko Jordanu, winnice Galilei,
jak w słonecznej Italii.
Stamtąd to wino, choć nie dorówna temu z Lacjum.
Kiedyś tam wrócę. Moja żona, Prokula,
nie sypia tu dobrze. Mówi przez sen
o kielichu krwi. Ot, kobiece nastroje.
Musimy na czas paschy wyjechać
do Tyberiady. Do pałacu Heroda.
Może odpocznie.

II

Kana Galilejska. Punkt w historii świętości.
Radość, która przeminęła, a trwa.
Podtrzymywana przez Chrystusa.
Radujcie się młodzi, których szczęście nadchodzi,
radujcie się starzy, trwający w szczęściu.
Wznóście puchary winnych kropeł, czerwonych jak krew.
Uzbierajcie całe stągwie radości.
Obietnic tego, co będzie.

W małym kościółku, w którym echo
tamtych godów, drugi raz ślubowałem
mojej żonie. Była piękna biblijną uroczystością,
wyciągała dłoń, jak wtedy,
gdy obrączka nieśmiertelności
po raz pierwszy spinała nasz los.

Obok świątyni, po trzydziestu pięciu latach
od wesela, kupiłem butelkę wina.
To było wino, które pił przed laty Piłat,
prześladowca moich myśli.

To było wino z winnicy Horacego, mojego mistrza.
To było wino z winnicy Chrystusa, mojego zbawcy.
Delikatne, o niebieskim bukicie
niezapominajek, cytryn i fig.
Wino z ostatniego dzbana
weselnej uczy.

Gdy śmierć

*jeżeli układ termodynamiczny przechodzi
od jednego stanu równowagi do drugiego,
bez udziału czynników zewnętrznych,
to jego entropia rośnie*

Mojemu Bratu

Jaki zapach ma śmierć, czy jest bezwonna
jak świeżo wyprane sztywne prześcieradło,
a może pachnie kwiatami dzieciństwa,
aureolami stokrotek nad głową?

Czy można wyczuć jej obecność w ruchu powietrza,
gdy delikatnie omija atomy tlenu i azotu, będąc
przeszkodą w oddychaniu? Niemożliwe
by była tak maleńka.

Czy śmierć jest bliska zera bezwzględnego
w swoim chłodzie, czy ma temperaturę rozgrzanej
do nieprzytomności głowy, gdy myśli przerażone
ścierają się same ze sobą?

Jakimi słowami mówią do niej twój syn, twoja żona,
gdy nawet najprostsze komplikują ostateczność
i są jak klucze do zwykłych drzwi, gdy tam brama?

Za nią ciało staje się układem w równowadze
osiągającym maksimum entropii.
Jedynie dusza nie umiera.
Odchodzą wraz pod rękę.

Pater Meus

Pamiętam dzień, gdy składano Cię do grobu.
Odchodziłeś, niosąc lipowy krzyż,
po tej drodze, którą w świąteczne popołudnia
chodzili do Nieba Twoi lipowi święci,
by wielbić Boga w wieczności.

Ja zostałem, i rzeka Twojego dzieciństwa,
z której wody chrzest Twój, i uświęcam pamięcią Twoje imię.
Palę znicze na grobie, gdzie pamięć o Tobie,

i zbudowałem, zamyślonemu nad naszym losem,
Frasobliwemu, najpiękniejszą kapliczkę w mieście.
Na Twoją pamięć i na powitanie Królestwa,
które przyjdzie.

Uczyłeś mnie całe życie i byłeś nauczycielem
dobrym, chociaż wtedy w to nie wierzyłem,
a nie byłem pojętym uczniem. Chciałem rozbić
pytaniami tkanę codzienności, a drwiną podpierałem się
jak kulawy laską. Ale ostatecznie przyznałem Ci rację,
i wypełniam podpisaną metrykę, i żyję tak,
jak nauczałeś przykładem i słowem.
Na ziemi po Tobie buduję swój dom,
oczekując pokoju w domu Ojca.

Ciężko pracowałeś na chleb dla rodziny.
W Twoim prostym warsztacie długo w noc
świeciła się lampa, bym, z pomocą Bożą,
zapewnił chleb mojej rodzinie
i nie żebrał u innych łaski.

Wybacz wszystkie moje winy i zaniedbania,
których dopuściłem się wobec Ciebie,
wobec bliźnich i Boga, który w nich żyje,
kiedy już nie żywię urazy do moich wrogów,
a Twoi wrogowie umarli wraz z Tobą,
W dzisiejszym świecie, w którym tyle wodzi
na pokuszenie, którego już nie oglądałeś,
oparłem się złu. Wierzę, że z Twoją pomocą
Bóg wybawi nas od Złego.

Na Górze Oliwnej, gdzie dotykamy pamięci
najpiękniejszej z modlitw,
ja wspomniałem Ciebie.
Piłat Twojego życia,
zbrudzone dłonie składam
do modlitwy.

Mater Meus

Nie mogłem przed Tobą ukryć
pożyczanych poglądów,
które zakwitały trującym kwiatem, bogów
jaskrawych jak kłamstwo, przynoszonych
w zbyt obszernych kieszeniach i w głowie,
rozpalonej młodością. Parzyły w dłonie
jak kradzione jabłka, wykwitały rumieńcem
zawstydzienia na twarzy.

Byłaś strażą przednią Boga Jedynego,
przy której jego niepokój o mnie był mały,
jak moje błędy.

Łagodna niby ofiarne jagnię, nie użyłaś nigdy słowa
przeciwko ludziom. Jakżeby mógł ktoś pomyśleć,
że imię Pana swego weźmiesz w innym celu,
niż święty. Pozostał po Tobie jedwab słów,
który wisi nade mną jak błogosławieństwo.

Kalendarz miał trzysta sześćdziesiąt pięć
kartek. Co dzień wrywałaś jedną z przepisem
na obiad i na zostanie świętą. Święciłaś
każdą minutę, każde rozpoczęcie pracy
i zakończenie, każdy kęs od Boga.
Nie trzeba było pamiętać,
by dzień święty święcić.

Moja Matko święta.
Mój Ojczy godny świętego szacunku.
I ty, moje życie długie na ziemi, którą już dostałem.
Czy już się wypełniło, skoro mam?
I cóż to jest długie życie, skoro nadal żyjesz
w mojej miłości, choć za wcześnie umarłaś,
a ja w Tobie kocham świat, który był
i nadzieję, która nie umiera.

Życie było dla Ciebie najświętsze.
Nawet zwierzęce było wyzwaniem,
kiedy nóż w dłoni przed świątecznym obiadem
nad kurą, jak ofiarą z najbliższej istoty.
Każda kropla krwi, mgła zasłaniająca oczy.
Ofiara za kogoś albo dla kogoś.
I Brat, który za późno się narodził
i jest

Dłonie miałem mieć czyste,
i myśli. Cudzołóstwo było
kradzieżą. Kradzieżą uczuć.
Nie znałaś fałszywego słowa,
uśmiechu, gestu, świadectwa
przeciw bliźniemu swemu.
Wystarczało Ci to, co miałaś.
Mało rzeczy, mało pożądań.
Ogromna wiara.

Dopiero dziś, kiedy moje pożądanie
domu bliźniego mego,
pragnienie żony jego i
sługi, służebnicy, wołu, i osła,

i każdej rzeczy, która jego jest,
potrafię okiełznać, zabić w sobie,
myślę o Tobie od nowa,
i o tym, jaką musiałem przejść drogę,
aby Cię wpisać w kamienne tablice
przykazań miłości.

Patrzę przez okno

Siedzę przy oknie i patrzę przed siebie.
Rozważam, na ile mogę, patrząc przez nie,
poznać tajemnice świata.

Wiem już, że nie przeczytam opasłych tomów
o naturze rzeczy
czy *matematycznych podstaw filozofii przyrody*,
ani nie podążę gwiazdnymi drogami.

Czy zresztą takie podróże są sposobem
na poznanie wszystkiego?
Zawsze spotkać można przydrożnego głupka,
który nie wie i pytaniem zburzy spokój filozofa.

Wolę popatrzeć na moje cztery śliwy,
zbierające się do wiosny w przeczuciu nowego,
na trawę, która zielenią zasnuwa przeczucie końca,
na księżyc, nocną gwiazdę, z którą jestem zaprzyjaźniony.

Co wieczora szepce mi tajemnice kosmosu,
łagodnie, bez szlochu supernowych,
a śliwy, gdy Bóg da urodzaj, wesprą mnie
w rozumieniu najtajniejszego.

Bo czyż jest większa tajemnica od tajemnicy dni,
w których na spółkę z Bogiem hoduję życie,
nawet tak małe, jak życie śliwy? I kiedy mam
pełne dłonie dojrzałych nagród, oczekując nagrody?

Tu, gdzie smutek miesza się z radością,
tworząc upojny napój każdego dnia,
patrzę przez okno.
I wiem.

Rozległe pole

Podobny kolor nazywa się umbra lub siena.

Kojarzy mi się z Italią. Szczególnie wczesną jesienią.
Wybrązowione przestrzenie emanują tęsknotą.

Za oknem rozległe pole, pokryte ziołami
zasuszonymi w umbrze przemijania,
Łąka, która umarła, zmartwychpowstaje.
Jest niedzielny poranek. Wiosna.

Kot czai się tutaj na małe myszki niecierpliwości.
Starsze panie w nabożeństwie nordic walkingu
rozcinają perspektywę na dwie nierzeczywistości.
Myśli podążają nieśpiesznie za marzeniami.
Widzę, jak łopocą na drugim krańcu horyzontu.

Pod niebem, z którego wystrzelił cień jastrzębia,
jest miejsce na wszystko: ścieżki historii, odbicia kopyt,
miłosne wyznania, czerwień poziomek, skrzyp sandałów.
Nie, nikt ważny nie przechodził przez karty tej ewangelii,
zapisywanej rzędami mrówczych istnień.

Tylko zapach - jakby garbowanej skóry - przywołuje
pamięci błogosławieństwa ziemi, które odczytuję
w ubogich kwiatach, smutnych oczach saren, ciszy lasu,
sprawiedliwości wspólnej troski o małe, miłosierdziu czekania,
czystości strumienia, pokoju poranka, cierpieniu myszy polnych,
błuznierstwie niezrozumienia tej, z której wszystko.

Dzisiejszej nocy przyszła do mnie...

Dzisiejszej nocy przyszła do mnie starość.
Bez przywitania przerwała sen, tasując
przed oczami obrazki przyszłości.
Dmuchałem na nią, ale wracała
zapachem zapuszczonego domu,
widokiem samotnej nieporadności,
drażniła pomarszczoną skórą,
rozpiętą transparentnie.

W tę noc Bożego Miłosierdzia
nie miała litości starego człowieka,
który przeciągnął pług przez wszystkie zagony
i uśmiecha się do plonów życia.
Wynajdywała wszystkie grzechy,
które odcisnęły swój ślad
na skórze, co nad głową powiewa
jak naruszony zwój Prawa.

Zapomniałem tak wiele, ale starość pamięta.

Nie interesuje się dzisiejszą dobrocią,
czyta co było, wymyśla przyszłe.
Jest bezwzględna jak Sąd
Ostateczny, choć nie ma prawa sądenia
młodości.

Dopóki ona we mnie jak gęś kapitońska
gęga rankiem, jakby rodziła kolejne jajo,
albo porywała do walki,
nie boję się tej, która jak śmierć.

Ten ciemny element

Ten ciemny element każdego mojego dnia
jest jak plama w rogu olejnego pejzażu.
Nie stanowi dominującego punktu kompozycji,
nie on przyciąga pierwsze spojrzenia,
by przekazać wymyśloną prawdę
o zamkniętych w ramie codziennościach.

Pejzaż mojego dnia jest doskonały na tyle,
na ile może być doskonałą rzeczywistość,
która nie ma alternatywy.

Wymyślone tanecznie gesty dłoni, rozstania i powroty,
których nie można skopiować,
słowa obrastające w rzeczy i pojęcia,
matczyny kosmos jeleniego rykowiska
i nieskończoność mlecznej miłości.

Wszystko we właściwych proporcjach,
porozkładane delikatnie na płótnie,
zastanie nierzeczywistości.

I tylko ten ciemny element w rogu,
poza horyzontem codziennych zdarzeń.
Jak moja sygnatura albo signum temporis
tamtej strony.

Bądź gotowy, bo nie znasz dnia...
kiedy nadejdzie.

Wielki kamień

Zataczamy wielki kamień. Zostawiamy za sobą
sprawy zbyt nieporęczne, jak krzyż lub przykazanie.

Odchodzimy z miejsca pytań o nasze wątpliwości i
trwogę, biorąc jedynie to, co łatwe do niesienia.

Zataczamy wielkie koło. To co było lekkie,
czynimy ciężkim, co było dobrem, czynimy złem.

Bezsilni drogą dochodzimy do grobu pytań,
które czekają na zmartwychwstanie
przywalone kamieniem niepamięci.

Stoimy z prośbą bezgłośną,
pragnieniem odpowiedzi.
pragnieniem Chrystusa,
który kamieniem nam
i krzyżem.

Golgota

Śmierć to samotność, teatr niemy, nawet jak wokół pełno widzów.
Strach w nim sufluje cicho słowa, więznące w gardle pożegnaniem.
I ból odejścia. Gdy już droga zakończy się na twej golgocie,
Zrozumiesz, że twa własna ręka przybiła twoje nogi, dłonie
I włóczni ostrzem w serce mierzy. Ból taki ciemny, że przesłania
Oczy i myśli. A świadomość twojego kiedyś zmartwychwstania
Jest obojętną. Kamień ziemi na życiu kładziesz, serce płonie
Jak Niebo.

Obok głos łagodny. Słyszę: „*dziś ze mną będziesz w Raju*”.
Żart to? Głowę do Niego zwracam: On w ciszy z życiem się rozstaje.
Okaleczony, król cierniowy, przebite krwawią stopy, dłonie,
Wykpiony prawdą. Wciąż umiera. Za tych co byli, co przywiodą
Tłumy za sobą, aby sądzić tych, co dla tłumów są przeszkodą.
Zgrzeszyłem pychą. Sądz mnie Chryste. Nazarejczyku, Żydów Królu.
Tylko ty możesz grzech wybaczyć, tylko Tyś ulgą w śmierci bólu.
Twe miłosierdzie ponad czasem. Wiem, bo je dłońmi dotykałem
Jak ślepiec - Tomasz. Ślad zostawiam. Bo „*Com napisał, napisałem*”.

Napisałem w Niedzielę Miłosierdzia 27 kwietnia 2014 roku